

Stefania Szmytkowska

Radzyń Podlaski 1930-1944 w moich wspomnieniach

Radzyński Rocznik Humanistyczny 9, 179-194

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Stefania Szmytkowska

Radzyń Podlaski 1930-1944 w moich wspomnieniach

Radzyń Podlaski w 1933 roku liczył około 7 000 mieszkańców. Z tego połowę stanowili Polacy, a drugą połowę Żydzi. Polacy byli przeważnie rolnikami, natomiast Żydzi zajmowali się handlem. Obecne ulice Dąbrowskiego, Pocztową, Warszawską, za poprzednią siedzibą policji do ulicy Chomiczewskiego i w głębi Bulwary zamieszkiwali Żydzi. Na Bulwarach stała żydowska bóżnica. Na ulicy Ostrowieckiej tylko kilka części kamienic należało do Polaków. Tam, gdzie obecnie znajdują się sklepy PSS, wlokły się niskie, małe, żydowskie sklepiki. Hale obok Szkoły Podstawowej nr 1 użytkowali Żydzi, za wyjątkiem jednego sklepiku masarza Polaka. Kiedy byłam dzieckiem pamiętam jak pod murem parku, od strony zamku stało szereg małych sklepików prowadzonych przez Żydów. Stare Żydówki, w perukach, wystawiały małe stoliczki z towarami na zewnątrz sklepików. W zimie siedziały na krzesłach, grzały się przy garnkach z rozżarzonych węglem ustawionymi między stopami. Te sklepiki i wiele małych drewnianych domków w rynku spłonęło około 1930 roku. Pod murem po pożarze nie pozwolono budować nowych kramów. Na rogu rynku Żyd o nazwisku Żyto wybudował dużą kamienicę – obecnie własność rodziny Szabrańskich. W Radzynie była też szkoła chasycka dla chłopców żydowskich. Nosili oni długie czarne płaszcze zwane chałatami, czarne krymki na głowach albo czarne kapelusze i zwinięte pejsy. Starzy Żydzi nosili przeważnie długie brody. Plac, na którym po wojnie wybudowano Szkołę Podstawową nr 1, do 1933 roku nie był ogrodzony. Porośnięty był dużymi polaciami trawy. Tam Żydzi w szabas wykładali koce, pierzyny, poduszki i z gromadą dzieci i świętowali.

W pobliżu Radzyna było kilka majątków ziemskich – dworów.

W Radzynie poza pięknym zamkiem i kościołem stał drewniany budynek „dom kultury”, w którym mieściło się kino i odbywały się popisy sportowe, występy

teatralne i inne spotkania i zabawy taneczne. Drugie kino prowadziła Żydówka Klejmanowa.

Na święta 3 Maja i 11 Listopada wszystkie budynki państwowe, prywatne i zakłady pracy były obowiązkowo dekorowane biało czerwonymi flagami. W defiladach uczestniczyli: młodzież szkolna, strzelcy, harcerze, strażacy, pracownicy policji, kupcy, rzemieślnicy i inne organizacje. Defilady formowały się na dziedzińcu zamkowym. Do zebranych przemawiał z balkonu starosta, po czym następował przemarsz z orkiestrą do kościoła na nabożeństwo. Po nabożeństwie maszerowano ulicami miasta na stadion. Tam wysłuchiwano z trybuny przemówień, a potem następowało rozwiązanie pochodu.

W zamku mieściły się biura starostwa powiatowego. Park na co dzień był zamknięty. Czasami odbywały się tam loterie fantowe i inne festyny za biletami wstępu. Oranżeria była nieczynna, cała pogrążona w zaroślach. Zamek też wymagał remontu. W pomieszczeniach biurowych były zmurszałe podłogi. Do głównego wejścia prowadziły szerokie schody, a schody na piętro podpierał biały posąg pięknej kobiety. Na piętrze znajdowały się dwie sale - biała i zielona. W karnawale odbywały się tam bale dla ziemian i inteligencji. W ostatnich latach przedwojennych bywały bale strzelecki i policyjne, na które miała wstęp szersza publiczność. Jeden taki bal strzelecki otwierał książę Czetwertyński. Do pierwszego tańca poprosiła księcia moja siostra Stanisława – wyznaczona przez Związek Strzelecki. Na balach tych wodzirejami bywali Pelaskowski i Klimkowicz.



Na Bulwarach stała żydowska bóżnica.

W rzeczywistości zdjęcie przedstawia bóżnicę przy ul. Szkolnej (dzisiejsza Pocztowa). Fot. ze zbiorów Alicji Gontarek.

Młodzież zrzeszała się w:

- a) Związku Strzeleckim; żeński i męski prowadził doktor Chomiczewski, w związku tym istniało kółko teatralne. Sztuki teatralne reżyserował sam doktor Chomiczewski, a główne role amantek grywała moja siostra Stanisława. Strzelcy na defiladach występowali w bluzach strzeleckich. Grupa strzelecka żeńska rozpadła się po śmierci doktora Chomiczewskiego. Grupa męska istniała do wybuchu wojny w 1939 roku;
- b) Ochotniczej Straży Pożarnej niezbędnej ze względu na drewniana zabudowę; budynki mieszkalne były kryte gontem, a budynki gospodarcze słomą;
- c) orkiestrze dętej prowadzonej przez wspaniałego kapelmistrza pana Busla, która uświetniała wszystkie uroczystości państwowe i religijne;
- d) chórze kościelnym, między innymi na Boże Narodzenie i Nowy Rok wystawiali jasełka; mieli dużo wielbicieli.

Na przyjazd biskupa do radzyńskiej parafii banderia konnych rolników wyjeżdżała za miasto na spotkanie. Na placu kościelnym pierwszy witał biskupa zasłużony przedstawiciel żydowski chlebem i solą.

W 1930 lub 1931 Radzyń odwiedził prezydent Mościcki. Ze stacji kolejowej przyjechał samochodem. Na zakręcie ulicy Międzyrzeckiej przed naszą rodziną posesją stał tłum ludzi w szpalerach. Dwie dziewczynki ubrane na biało wręczyły prezydentowi wiązanki kwiatów. Prezydent przesiadł się do bryczki, zabrał dziewczynki ze sobą i odjechali do zamku.



*Do głównego wejścia prowadziły szerokie schody,
a schody na piętro podparła biała posąg pięknej kobiety.*

Fot. z kolekcji Archiwum Państwowego w Lublinie Oddział w Radzynie Podlaskim.

W lecie w noc świętojańską odbywały się spotkania nad rzeką Białką, śpiewano i puszczano wianki.

Co roku w Radzynie miały miejsce dożynki powiatowe, często połączone z wystawą płodów rolnych i zwierząt hodowlanych.

W 1936 lub 1937 roku w Radzynie na łące na Łędzinku wylądował balonem najsłynniejszy człowiek, który latał balonem, było to szwajcarski fizyk Piccard. W 1930 roku wzniósł się balonem na 16940 m. W 1948 roku zbudował batyskaf, w którym w 1953 roku zanurzył się na głębokość 3150 m.

W tych latach, na łące za kościołem, za rzeką wylądował również samolot. Zebrał się tłum gapiów, ponieważ nikt z tutejszych mieszkańców samolotu z bliska nie widział. Na jego powitanie przyszedł również starosta. Później pilot miał trudności ze startem. Spod kół samolotu przyskały kawały darni łąkowej.

Pod koniec lata przez Radzyń defilowały jednostki wojskowe powracające z manewrów. Ludność witała wojsko kwiatami przy specjalnie zbudowanej bramie tryumfalnej.

Do Radzyna przyjeżdżali również znani muzycy i śpiewacy np. Wanda Wilkomirska, Irena Dubiska, Grażyna Bacewicz i Krystyna Szczepańska. Koncerty odbywały się w sali gimnastycznej gimnazjum.

W okresie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku starsze dzieci chodziły po domach, kolędowały z gwiazdą, a trochę starsi z królem Herodem. W naszym domu byli chętnie przyjmowani i obdarowywani słodyczami i pieniędzmi.



Oranżeria była nieczynna, cała pogrążona w zaroślach.

Fot. z kolekcji Archiwum Państwowego w Lublinie Oddział w Radzynie Podlaskim.

Polskie gimnazjum w Radzynie założyła w 1915 roku Halina Rudnicka, natomiast budowę szkoły podstawowej zakończono wiosną 1932 roku. Od odzyskania niepodległości w 1918 roku nauka klas szkoły podstawowej odbywała się w prywatnych domach. Ja pierwszy rok nauki rozpoczęłam w 1939 roku w budynku Pani Kralewskiej, w drugim półroczu moja klasa uczyła się na zapleczu zamku. Nauka w drugiej klasie odbywała się w pomieszczeniach PZGS-u, a od wiosny w nowo wybudowanej szkole z dużą salą gimnastyczną. Od piątej klasy moim wychowawcą był Pan Lisowski. Przez 3 lata byłam gospodarzem klasy. Na lekcjach wychowawczych Pan Lisowski apelował o mądre i odpowiedzialne postępowanie, by nie utracić tego, co nasi przodkowie wywalczyli, mówił o powstaniach, zrywach wolnościowych i o poległych Polakach. Prowadził również chór szkolny i harcerstwo. Nasz chór był wyżej ceniony od chóru gimnazjalnego.

W Radzynie polskimi placówkami handlowymi były PZGS i PSS. PZGS prowadził sprzedaż maszyn, narzędzi rolniczych, części zamiennych i inny drobny asortyment żelazny. PSS miał sklepy spożywcze i bławatne. Jeden polski sklep z obuwiem prowadziły Panie Łacówny. Były też polskie sklepy z wędlinami. Poza tym funkcjonowały dwa sklepiki spożywcze prywatne. Całe różne szeregi sklepów i jatki wołowe należały do Żydów. Rzemiosło w dużej mierze opanowane było również przez Żydów.

W marcu 1939 roku [mojego] brata Pawła, który dwa lata wcześniej odbył obowiązkową służbę w piechocie w Pińsku, powołano do obserwacji terenu z wieży zamkowej. Po kilkunastu dniach otrzymał powołanie do wojska. W pierwszych dniach wojny brał udział w walkach na froncie w okolicach Borów Tucholskich. Tam został ranny w szczękę i znalazł się w szpitalu. Ze szpitala zabrano go do niemieckiej niewoli. Wrócił z niewoli w zimie 1941 roku, w wojskowym ubraniu z głową w bandażach, bardzo wycieńczony i słaby.

Pod koniec sierpnia 1939 roku na boisku sportowym odbył się wiec agitacyjny, by bronić ojczyzny. Z trybuny przemawiał książę Czetwertyński i komornik Wielg. W niedzielę, w domu parafialnym zorganizowano punkt z herbatą i kanapkami dla uciekinierów przejeżdżających przez miasto. Między innymi ja, jako 14 letnia harcerka, obsługiwałam bufet.

1 września 1939 roku ogłoszono ogólną mobilizację. Były spotkania i pożegnania. Brat Waław żegnając się z rodziną, mnie 14 letnią dziewczynkę pocałował w rękę. Bardzo to przeżyłam.

Po przebraniu się w mundur wojskowy, w jednostce w Brześciu wyznaczono bratu nocną wartę w bramie. Trwało bombardowanie, oglądał dantejskie sceny – poranieni ludzie, konie, rozbite samochody i wozy. Rano po zejściu z warty polecono mu i pozostałym żołnierzom zdać ubrania wojskowe, ubrać cywilne i wracać do domów. Nie było normalnej komunikacji. Na rogatce miasta złapał okazję – samochód w kierunku Radzyna. W pobliżu Radzyna poprosił kierowcę o zatrzymanie się, ale ten zwiększył prędkość jazdy, więc brat wyskoczył z pędzącego samochodu. Potłuczony wrócił do domu. Za dwa dni rozeszła się pogłoska, że nadciągają Niemcy, będą mordować młodych mężczyzn. Brat ze szwagrem Zygmuntem wzięli bochen chleba, kawał słoniny i wyruszyli z domu. Przebywali 2 doby w lasach w okolicy Wohynia. Dochodziły ich spokojne wieści, a ponieważ i żywność się skończyła wrócili do domu. Tak postępowali prawie wszyscy mężczyźni. Dwaj najbliżsi sąsiedzi nie wrócili jednak z wyprawy. Wielkie poszukiwania latami, nawet przez Czerwony Krzyż, nie dały rezultatu. Kilka lat po

wojnie skruszony policjant wyznał, że wraz z kolegą obchodzili teren szukając dwóch niemieckich spadochroniarzy. Na łąkach w pobliżu Kocka zobaczyli dwóch idących mężczyzn i zastrzelili ich. Po stwierdzeniu, że są cywilami zakopali ich nie przyznając się do niczego. Po latach zrobiono ekshumację, i stwierdzono na podstawie obrączki i szczątków ubrań, że to właśnie ci zaginieni sąsiedzi.

W kilka dni po powrocie brata Waclawa nastąpiło bombardowanie miasta. Spłonęło kilka zabudowań. Podczas gaszenia został zabity młody mężczyzna – adwokat. Z pomieszczenia poczty, która mieściła się w zamku, wyskoczyła przez okno do parku młoda telefonistka Halina Maj. Kucnęła pod wielkim drzewem i w tej pozycji zobaczyłam ja nieżywą. Zginął też w pobliżu chłopczyk około ośmioletni. Nad rzeką obok kościoła stał nowo wybudowany budynek drewniany, w którym mieściła się młeczarnia. Podczas bombardowania budynek rozpadł się na kawałki. W piwnicach zginęło kilku żołnierzy. Przebywająca na piętrze żona kierownika młeczarni siedziała na krześle z dzieckiem w beciku, Nic im się nie stało, osunęli się na krzesło na dół na rozpadających się częściach podłogi. W naszym domu od bomb powypadały wszystkie szyby.

Podczas bombardowania z wieży zamkowej spadł rozbity posąg jelenia. Po latach, na podstawie mojej przedwojennej pocztówki, o którą poprosił instruktor M. Ślusarz, odtworzono obecnego jelenia.

Moja rodzina w czasie nalotów kryła się w schronie ziemnym u sąsiadów mieszkających troszkę dalej od ulicy. Miasto zostało pozbawione prądu i wody, a zerwane kable leżały na ulicach.

Pod Kockiem trwały walki obronne. Do szpitala w Radzynie zwożono rannych żołnierzy. Wielu z nich pochowano w szeregu pod murem miejscowego cmentarza. Wydaje mi się, że Niemcy weszli do Radzyna 12 września. Wracaliśmy boczną drogą z pola i widzieliśmy z dała jadącą od strony Marynina do miasta kolumnę około 30 czarnych dużych motocykli. Żołnierze byli ubrani na czarno, z wystawionymi karabinami do strzału, przejeżdżając z wielkim hukiem wyglądali bardzo groźnie.

Zajęli budynki szkolne i państwowe. W sklepach już następnego dnia zabrakło podstawowych artykułów, a najbardziej soli. Za kilogram soli, która wcześniej kosztowała grosze, gospodynie ze wsi dawały koguta. Duże trudności były również z kupnem chleba.

W pierwszych dniach po wejściu Niemców do naszego domu przyszedł sekretarz miejskiej rady z asystą, rozejrzał się po mieszkaniu i zabrał dwa eleganckie wiedeńskie krzesła. Siostra prowadziła pracownię krawiecką i na nic zdały się prośby, że przychodzą klientki z osobami towarzyszącymi, albo dziećmi i krzesła są potrzebne. Za zabrane krzesła otrzymaliśmy pokwitowanie.

W domu zakwaterowano nam niemieckiego kapitana. Był sympatycznym człowiekiem. Chwalił się narzeczoną Urszulą Radziwiłłówną i pokazywał jej fotografie. Starsze siostry znały trochę język niemiecki ze szkoły i czasami, gdy kiedyś o coś pytał potrafiły odpowiedzieć. Mieszkał u nas około trzech tygodni.

Po kilku spokojnych dniach nastąpiły aresztowania zakładników: lekarzy, adwokatów, urzędników, nauczycieli i innych znaczących ludzi w mieście. Między innymi aresztowano mojego szwagra Zygmunta Pawlinę – stolarza. Był starszym cechu rzemieślniczego i członkiem rady parafialnej. Następnego dnia wypuszczono doktora Gruszeckiego – dyrektora szpitala, z tego względu, że w mieście funkcjonowało tylko dwoje starych lekarzy, i szwagra z tego względu, że robił trumny dla miasta i okolic. Niemcy w bieżących sprawach rozmawiali ze społeczeństwem posługując się młodymi

Żydami.

Wprowadzono również kontyngenty – obowiązkowa sprzedaż płodów rolnych, zwierząt rzeźnych, jaj mleka i zboża po niskich cenach.

Szkoła podstawowa rozpoczęła naukę z opóźnieniem, w różnych pożydowskich lokalach. Zakwitł nielegalny handel. Żydom ograniczono swobodę, musieli nosić opaski z gwiazdą. Później zaczęto tworzyć getto.



Na święta 3 Maja i 11 Listopada wszystkie budynki państwowe, prywatne i zakłady pracy były obowiązkowo dekorowane białą czerwonymi flagami.

Fot. z kolekcji Archiwum Państwowego w Lublinie Oddział w Radzynie Podlaskim.

Na mieście mówiono o pojedynczych aresztowaniach. Szeptano o aresztowaniu grupy harcerzy. W Paszkach niedaleko Radzyna aresztowano kilka osób, w tym żonę mojego ciotecznego brata – matkę 4 dziewczynek. Najstarsza miała 12 lat. Oskarżono ich o dożywianie partyzantów. Zrozpaczony cioteczny brat prosząc o wypuszczenie żony, oferował, aby w zamian zabrano jego. Zatrzymano również i jego, oboje zginęli w Oświęcimiu. Pana Orlika, prowadzonego na przesłuchanie, zastrzelono w trakcie ucieczki na ulicy. Na grobli do PZGS-u zastrzelono piękną, młodą Żydówkę – córkę właściciela gmachu, w którym po wojnie mieściło się starostwo powiatowe. Aresztowano również Podbielskiego – młodego właściciela majątku Bojanówka. Z opowiadań wiadomo mi, że podczas przesłuchania Podbielski rzucił się na gestapowca i w trakcie nierównej walki został zastrzelony. Zakopano go w nocy na cmentarzu bez trumny. Aresztowano też staruszką, zasłużonego księdza infulata Osińskiego. Widziano jak zamiatał korytarze w areszcie. Po pewnym czasie został zwolniony. Niedługo po-

tem zmarł. Było jeszcze wiele innych aresztowań – T. Rosowski, Prejzner, Siudajówna, Żelazko, J. Potęga, Jeż, Świętkowa. Z obozu po wojnie wróciła tylko Pani Świętkowa, bardzo wycieńczona, niedługo potem zmarła. Aresztowano też Pana Prejznera – nie powrócił.

Rozpoczęły się wezwania na roboty do Niemiec. Ja dostałam kartę – wezwanie do Arbeitsamtu. Nie miałam jeszcze ukończonych 16 lat, byłam bardzo wątpła i szczupła poszłam tam z mamą. Lekarz wydał opinię, że jestem zdrowa. Elegancki starszy pan mamie kazał wyjść z pokoju, mnie podsunął druk do podpisania, że zgadzam się na wyjazd do Niemiec na roboty. Odpowiedziałam, że jestem za młoda i za słaba, aby jechać w świat. Oznajmił, że pojedą do fabryki porcelany, gdzie praca jest lekka. Stanowczo odmówiłam podpisu. Zaczął krzyczeć i tłuc rękami o biurko. Zamknął mnie na klucz w pokoju oświadczając, że jak przyjdzie gestapowiec to i tak podpiszę ten dokument. Nie płakałam, po pewnym czasie otworzył drzwi i pozwolił mi iść do domu. Dopiero w domu zaczęłam płakać, dostałam silnego krwotoku z nosa, z trudem zatamowano mi krew. Kilka dni nie spałam w domu. Może po miesiącu, w nocy, około pierwszej, do naszego domu przyszli Niemcy z polskim policjantem i zabrali na roboty siostrę Wandę. Rodzice dowiedzieli się, że zabranych na roboty ulokowano w areszcie przy gminie w Białej koło Radzyna. Nasz stryj miał za sąsiada Niemca, mówili, że to porządny człowiek. Rodzice ze stryjem poszli do niego z prośbą o pomoc. Niemiec ten oświadczył władzom niemieckim, że siostra jest jego pracownikiem w olejarni. W ten sposób uniknęła wyjazdu do Niemiec.

Rolnikom ograniczano przemiał zbóż na chleb i na karmę dla zwierząt. Żeby zemleć na swoje potrzeby zboże jechano do Wohynia lub Komarówki. Zboże mielono w nocy i przewożono je na wozach przykrytych słomą lub gałęziami. Złapani na tym procederze rolnicy byli wysyłani do obozów.

Z tego względu, że rodzice byli rolnikami, mieliśmy zboże na chleb i na karmę dla zwierząt w żarnach ukrytych w stodole za sнопami zboża.

Brat Paweł wrócił z niemieckiej niewoli zimą 1941 roku. W niewoli przebywał w Prusach Wschodnich, tam w szpitalu operował go lekarz francuski, też więziony do niewoli. Po wyjściu ze szpitala trafił za druty, do lagru. Opowiadał, że było bardzo ciężko i zimno. Karmiono ich zupą z brukwi, otrzymywali też bardzo małe porcje chleba. Po pewnym czasie skierowano go do pracy u bauera, trafił na dobrych ludzi, starszych wiekiem. Posiadali tylko jedną córkę, odżywili go i bardzo dobrze traktowali. Brat odwdzieczył się solidnie pracując. Podziwiali go, że na wszystkim się zna w gospodarstwie. Do tego stopnia polubili go, że gospodarz często wołał za nim „Paweł nie dźwigaj tyle, odpocznij”. Nie wszyscy jeńcy mieli tak dobrze. Jeden z kolegów trafił do pracy, do majątku księżnej polskiego pochodzenia, gdzie go tak źle traktowano, że się powiesił. Nie pamiętam jak długo brat był u tych gospodarzy. Pewnego razu przysłała komisja z żądaniem, aby się podpisał, że z własnej woli pozostaje na robotach w Niemczech. Brat stanowczo odmówił. Powiedział, że nie z własnej woli tutaj przybył. Chce wrócić do Polski, do swojego rodzinnego domu, do swojej ziemi. Jak odchodził, gospodarze płakali i prosili go, aby pozostał u nich. Od razu zabrali go za druty, a potem do lagru. Tam wychudł, przemarzł, rozchorował się i odnowiła się mu kontuzja szczęki. W żołnierskim ubraniu, z głową w bandażach wrócił do domu w lutym 1941. Następnego dnia musiał się zameldować w starostwie. Brat Waclaw zawiózł go saniami. Tam zabrali mu

wszystkie dokumenty. Przy przesłuchaniach zemdłał. Po przywiezieniu go do domu sprowadzono lekarza. Lekarz zalecił, aby przykładac na szczękę okłady z ciepłego rozgotowanego lnu, a jak pęknie wrzód, zrobić okład z sody, aby rana za wcześnie się nie zasklepiła. Poza tym zalecił leżenie, wypoczynek i dobre odżywianie. Ja przykładalam bratu na szczękę woreczki z ciepłym lnem i bandażowałam głowę. Po kilku dniach wytrysnęła fontanna ropy. W tym czasie do pokoju weszła siostra Zosia, zobaczyła to i zemdlała. Brat dopiero w lecie wrócił do zdrowia.

Jesienią mojemu stryjowi nakazano podjechać wozem pod getto żydowskie. Z innymi załadowanymi Żydami konwój wysłano do Międzyrzecza. Przy wysiadaniu z wozu stara Żydówka poruszała się powoli, więc Niemiec zastrzelił ją na wozie. Dzień później do naszego mieszkania wpadło dwóch Niemców z karabinami szukając Żydów. Byłam sama w mieszkaniu, pokazałam im krzyż i obrazy świętych na ścianach, po chwili wyszli. Następnego dnia widzieliśmy prowadzoną z miasta w kierunku Międzyrzecza kolumnę Żydów – 300, a może 500 osób, starzy, młodzi i dzieci. Nasi znajomi nieśli na rękach w beciku kilkutygodniowe dziecko. Przez sąsiedzki nieogrodzony ogród pewien mężczyzna prowadził starego Żyda z długą brodą, w chałacie i krymce na głowie. W pewnym momencie Żyd objął rękami pień drzewa, ponieważ nie chciał iść dalej – prowadzący go mężczyzna zaczął go okładać kijem. Przed południem wojsko spenetrowało wszystkie domy szukając ukrywających się Żydów. Za dzień czy dwa po wyprowadzeniu Żydów z Radzyna, w parku w sadzawce utopiła się Żydówka w średnim wieku.

W roku 1940 przybył do Radzyna inż. Stanisław Mańkowski, założył szkołę rzemieślniczą w jednym z pomieszczeń fabryki Laskowskich. Szkoła chroniła uczniów przed wywiezieniem na roboty do Niemiec. Ja zostałam tam przyjęta do pracy w listopadzie w 1941 roku jako pomoc biurowa. W 1942 roku były już dwie klasy uczniów. Szkołę przeniesiono do budynku Pani Kralewskiej. Niedługo po tym szkoły i warsztaty przeniesiono do budynku gimnazjum. Na placu zbudowano drewniane baraki, w których mieściły się warsztaty. 27 grudnia 1942 roku z powodu silnych mrozów Niemcy ewakuowali szkołę z budynku gimnazjum do budynku dr. Sitkowskiego.

W niedzielę, po świętach Bożego Narodzenia, około godziny 19.30 zaproszeni goście rozeszli się ze względu na obowiązującą od 20:00 godzinę policyjną. Po chwili ktoś zapukał, wszedł niemiecki żołnierz lat około 20 pytając czy może wejść i popatrzeć na choinkę. Mama zaprosiła go do środka, aby usiadł. Na stole stały jeszcze ciasta i wędlina, podała mu herbatę. Wtrącając, że bardzo ciężka zima, podziękował za poczęstunek i odchodząc powiedział, że gdyby spotkał Hitlera, to zabiłby go. Zdaje sobie sprawę, że on też zginąłby. „Dlaczego Hitler nas tu sprowadził?”. Teraz śle ich do walki na front, do Rosji. W okresie okupacji obowiązywało zaciemnianie okien od zewnątrz.



W karnawale odbywały się tam bale dla ziemian i inteligencji

Fot. z kolekcji Archiwum Państwowego w Lublinie Oddział w Radzynie Podlaskim.

Park od miasta oddzielał wysoki mur. W roku 1942 albo 1943 Niemcy rozebrali część muru, górę zakończyli ozdobnie splecionymi rurkami. Metalowe zakończenie muru wykonali uczniowie szkoły rzemieślniczej. Ówczesne gazety doniosły, że w Radzynie runął „chiński mur”. Przy okazji poszerzyli zakręt jezdni na rogu parku.

W roku szkolnym 1942/43 utworzono dla młodzieży pracującej klasę szkoły wieczorowej, w której uczono języka niemieckiego, korespondencji handlowej, rachunkowości i stenografii. W maju 1943 roku, z powodu aresztowań wielu nauczycieli, naukę przerwano. W 1943 roku przyszła komisja, nakazała siostrze prowadzącej legalnie zakład krawiecki natychmiast wynieść z mieszkania rzeczy z pokoju i kuchni. Lokal ten

przydzielono kobiecie, matce trojga dzieci. Jej dom zajęło niemieckie wojsko.

Szkoła powoli się rozwijała. W warsztatach powstały działy: ślusarski, kowalski, elektryczny, stolarski i dla stelmachów. Otworzono internat dla zamiejscowych chłopców. W roku 1942 powstały dwuletnie szkoły: handlowa koedukacyjna i krawiecka dla dziewcząt. Nie wszyscy wykładowcy byli w tych szkołach pedagogami. Nauczali inżynierowie, lekarz, nadleśniczy, dyrektor banku i komornik. Uczniowie pochodzący z rodzin rolniczych, oprócz opłat czesnego, raz w roku dostarczali dla stałych pracowników szkoły deputat: słoninę, mąkę, kaszę. Nie rolnicy wpłacali gotówką równowartość deputatu. Warsztaty szkolne wykonywały wozy dla rolników, opryskiwacze do sadów, suwmiarki metalowe. Zrobiono również pięknie kutą z żelaza bramę dla zamku oraz stoły i krzesła do oranżerii. Odbudowę zamku i oranżerii prowadził architekt von Kojrosyjski książę. Po wojnie był wysoko ceniony w wojewódzkim wydziale architektury w Lublinie. W czasie odbudowy architekt często bywał w gabinecie dyrektora Mańkowskiego i na warsztatach. Ubierał się w piękny długi kozuch, filcowe długie buty, elegancki ciemny garnitur, białą koszulę i ciemną muszkę. Mieszkał w zamku na Guberni. Woził go stangret karetą. Podobno w letnie wieczory grywał w parku rosyjskie melodie na balałajce.

Jako sekretarka warsztatów czasami odnosiłam dokumenty. Sprawy związane z odbudową zamku i oranżerii prowadził w starostwie starszy pan inż. Kranc. Kiedyś zaprosił mnie do obejrzenia dwóch pięknych reprezentacyjnych sal i holu w zamku. Powiedział, że takich zabytków, jak pałac radzyński, w Polsce jest niewiele. Podobny pałac jest jeszcze tylko jeden w Europie. Po odbudowie pomieszczenia reprezentacyjne były piękne. W salach stały olbrzymie lustra w złożonych szerokich ramach, w takich samych ramach wisiały wielkie obrazy. Sufity ze ścianami łączyły złożone ornamenty. W odnowionym holu biały posąg podtrzymywał schody. Wielki obraz w szerokich złożonych ramach przedstawiający rajców w fantazyjnych beretach i szerokich białych kryzach. Z korespondencją byłam w zamku na Guberni. W dużym holu znajdowało się wielkie lustro w złożonych ramach i w rogu holu stał wypchany niedźwiedź. Z korespondencją byłam także w Oranżerii widziałam jedną dużą salę. Być może było to kasyno i hotel dla oficerów. Stał tam długi rząd stołów. Otaczały je krzesła w zakopiańskim stylu wykonane w warsztatach szkolnych.

W sobotę 22 lipca 1944 roku pracownicy warsztatów zauważyli niepokój wśród żołnierzy stacjonujących w pobliżu. W niedzielę rano uciekający Niemcy podpalili zamek. Brat Waław i strażak z kolegą zaczęli gasić pożar. Ogień się nasilał, a z wnętrza słyhać było wybuchy. Musieli przerwać gaszenie. W południe usłyszeliśmy wystrzały, które ustały pod wieczór. Przez okno zauważyliśmy, że na ulicy stanął rosyjski czołg. Najmłodsza siostra Zosia rozpoznała na czołgu kilku stojących kolegów ze szkoły rzemieślniczej. Powiedzieli nam, że Niemcy już nie wrócą. Po opuszczeniu przez Niemców miasta z oranżerii i innych budynków zajmowanych przez Niemców ludzie rozkradli wszystko. W poniedziałek rano okazało się, że uciekający Niemcy powrócili boczną drogą. Na zakręcie ulicy Międzyrzeckiej podpalili dom i wszczęli walkę z wojskiem. Zginęło wielu żołnierzy. Naprzeciwko płonącego domu stał dom naszej ciotki. Podczas strzelaniny została zabita jej córka. Uciekający Niemcy zabrali jej męża z koniem i wozem na podwoły. Wrócił do domu po sześciu tygodniach. Pochowaniem kuzynki obiecał zając się brat Waław. Zamówiona trumna miała być gotowa we wtorek. Ja z najmłodszą siostrą idąc pożegnać kuzynkę widziałyśmy na Łędzinku zabitych nie-

mieckich żołnierzy. Byli ułożeni na trawie w mundurach, boso, w duże koła, chyba po dziesięciu, głowami do środka, nogi na zewnątrz. Zabita kuzynka leżała w pokoju na podłodze – był duży upał.

Pod wieczór nad miastem zaczęły krążyć niemieckie samoloty. Brat Waclaw poszedł do stodoły, aby w razie pożaru wypuścić zwierzęta. Niedługo zaczęło się bombardowanie. Ja z siostrą Stanisławą weszłyśmy do komory i tam siostra została ciężko ranna w plecy, była pochylona, to krew jej zalała twarz. Blisko naszego domu widać było łuny płonących warsztatów szkolnych. Z siostrami – Stanisławą i Zosią pobiegłyśmy na łąkę i dalej na Lędzinek, na wolną przestrzeń. W kierunku głowy Zosi spadł płomień bomby zapalającej. Krzyknęłam i zdążyła odskoczyć. Na Lędzinku spotkali nas dwaj płaszcz, rozebrał siostrę do pasa, pobandażował własnym bandażem. Powiedział, że drugi bandaż musi zachować dla siebie. Po drodze ktoś nam powiedział, że u pana Marona jest duży schron i tam się schowałyśmy. Po niedługim czasie siostra zaczęła omdlewać. Chciała wyjść na powietrze. Wysłałam razem z nią i usiadłyśmy pod drzewem. Słyszałyśmy wielki łoskot uderzających w drzewo odłamków. O świcie bombardowanie ucichło. Wracając do domu znalazłyśmy nad rowem ciężko ranną w udo siostrę Wandę. Wanda została raniona w naszym ogrodzie. Bardzo jęczała, usłyszał to sąsiad, młody chłopak, i przeniósł ją dalej od głównej ulicy, na sąsiednie podwórko, położył koło dużego kamienia. Skrył się tam również kilkunastoletni chłopak, który został później zabity odłamkiem bomby. Wanda, poza raną w udo, miała nadpalone włosy i odłamkiem skaleczony palec. Przechodzący znajomy postarał się o nosze i zanieśliśmy siostrę do blisko mieszkających kuzynów. Tam dowiedzieliśmy się, że brat Waclaw nie żyje. Waclaw dotarł do stodoły, gdy budynki zaczęły już płonąć. Wypuścił krowy i konia, przy odwiązywaniu drugiego konia został bardzo ciężko ranny w brzuch i nogę, a koń zabity. Po tym zdarzeniu chciał wrócić jeszcze do domu – „włókł się”. Zauważył go ktoś na chodniku i zabrał przed dom obwiązując brzuch ręcznikiem oraz namawiając, aby został u nich. W domu nie zastał nikogo. W pobliżu płonęły baraki i warsztaty szkoły rzemieślniczej i dom Pana Sitkowskiego. Przed domem opowiedział sąsiadce, co się z nim działo. Zaraz po tym nastąpił nalot. Na nasz plac od strony ulicy spadła olbrzymia bomba, odłamek roztrzaskał głowę brata. Bomba była przeznaczona na jezdnię ulicy, aby zahamować drogę na wschód przemieszczającym się wojskom. Zawaliła się również połowa sąsiedniego domu. Druga, mniejsza bomba rozwalila częściowo dom innych sąsiadów. W pobliżu zginął Pan Krzewski, którego trafił odłamek, gdy wychylał się ze schronu. Nasz dom był poturbowany, ale ocalał. Na placu, gdzie stała nasza stodoła, spłonęła również stajnia, obora, przybudówka ze wszystkimi narzędziami, wozy, sanie, młody koń, około 1000-kilogramowy byk, 40 kur i pies. Na zgłiszczach stodoły odkryto spaloną stację nadawczą i kilka karabinów. Raniutko rodzice z bratem Pawłem wrócili z łąk, ujrzeli zabitego Waclawa i dowiedzieli się o poranionych Stanisławie i Wandzie. Sąsiadka opowiedziała im ostatnią rozmowę z Waclawem. Mama przyszła do kuzynów, gdzie przebywałyśmy z Zosią. Ja pobiegłam łąkami do szpitala, po drodze słyszałam strzelaninę. W szpitalu czekało wiele osób rannych. Przed salą operacyjną leżała odcięta ludzka noga. Weszłam do środka, a tam lekarz odcinał nogę piłką metalową naszej znajomej, Pani Jagielskiej. Lekarz odpowiedział, aby ciężko rannych przywieść do szpitala. Wioząc ranne łąkami i przez Kozirynek zobaczyliśmy na poboczu drogi zabitego człowieka. Okazało się, że to Pan Luty, tamtejszy mieszkaniec.



Zrobiono również pięknie kutą z żelaza bramę dla zamku

Fot. z zasobu Narodowego Archiwum Cyfrowego.

W szpitalu lekarz wyjął siostrze Stanisławie z pleców trzy odłamki, zdezynfekował i odprawił do domu. Siostrze Wandzie podano tylko morfinę, bo bardzo cierpiała, i zostałam razem z nią w szpitalu. Na sali było dużo rannych i żadnej obsługi ze strony pielęgniarek lub salowych. Leżała tam między innymi młoda dziewczyna, córka organisty, Olejarzówna, która straciła oko i rękę do łokcia, miała pokaleczoną twarz drobnymi odłamkami. Jej młodsza siostra i babcia zginęły na miejscu. Ponieważ miała zakrwawioną twarz, obmyłam ją, pomogłam też innym rannym. Po południu ktoś z naszej rodziny przyniósł dla siostry rosół z makaronem. Ona jednak, będąc pod wpływem morfiny, nie mogła nic jeść.

W ciągu dnia nie widziałam nikogo odwiedzającego Olejarzównę, więc tym rosółem ją nakarmiłam, sama nie dałaby rady jeść. Wieczorem poszłam do rodziny, gdzie przebywały siostry. Nocowaliśmy razem z rodziną gospodarzy w piwnicy. Szwagier mieszkający na innej ulicy dowiedział się, że rodzinie potrzebne są dwie trumny, dostarczył więc dla Wacława niemalowaną trumnę. Rodzice i brat Paweł stali nad zmarłym Wacławem zrozpaczeni, w tym momencie przechodził ulicą ksiądz i ktoś go poinformował, że w ogrodzie leży zabity człowiek. Ksiądz dotarł do ogrodu i pomodlił się

nad zmarłym. Mama przyniosła z szafy bieliznę i elegancki czarny garnitur dla zmarłego. Waclaw był bardzo poturbowany i pokrzwawiony. Ksiądz doradził, aby zmarłego owinąć tylko prześcieradłem i tak włożyć do trumny. Był upał. Brata zakopano w naszym przydomowym ogrodzie. Również i kuzynkę pochowano w jej ogrodzie przy domu. Wieczorem, obawiając się dalszych zniszczeń w naszym domu, mama wyjęła z bielizniarki cały worek bielizny pościelowej i osobistej. Przewieziono to do rodziny, gdzie nocowaliśmy. Przy tych zmartwieniach worek postawili pod ścianą spichrza i zapomnieli go wnieść do środka. W nocy ktoś go ukradł. Pozostało nam tylko to, co wisiało w domu na strychu, nie zdjęte po praniu. W nocy znowu było bombardowanie. Rano mama poszła do Wandy do szpitala. Tam na chorych sypały się duże kawałki tynku. Kto mógł w czasie bombardowania chował się pod łóżko. Wanda nie mogła się poruszać, a na pościeli leżały kawałki gruzu. Lekarz nakazał zabrać chorych ze szpitala. Kuzyn z Paszk, widząc łuny pożarów nad miastem i odgłosy bombardowania, przyjechał do Radzyna, do naszego domu. Dowiedział się o całej tragedii. Siostry Stanisławę i Wandę na noszach zabrał wozem do Paszk. Rodzice, bojąc się trzeciej nocy bombardowań, polecieli mnie i Zosi, aby po południu również tam się wybrać. Ja miałam dziewiętnasty rok, Zosia siedemnaście lat. Zabrałyśmy tylko rodzinne albumy z fotografiami. Po drodze do Marynina na poboczach pól leżało wielu zabitych sowieckich żołnierzy. Przejeżdżały samochody z wojskiem i przemieszczali się pieszo żołnierze. Starszy żołnierz z chłopczykiem około dziewięciu lat zapytał, dlaczego takie młode dziewczyny podróżują w takich warunkach i po co idziemy. Pokrótkę opowiedziałyśmy o rodzinnej tragedii. On również nam powiedział, że cała jego rodzina nie żyje. Ocalał tylko ten synek, a ponieważ nie miał gdzie go zostawić, to zabrał go ze sobą na tułaczkę.

Język rosyjski trochę poznałyśmy z opowiadań wojennych. Radzyna był pod zaborem rosyjskim. Ojciec po pięciu latach powrócił z Rosji, a stryj po piętnastu. Często w opowiadaniach wtrącali zdania i słowa rosyjskie. Rano, nie znając terenu, wybrałam się z Paszk do Wrzosowa. Tam w majątku przebywał doktor Gruszecki. Na dziedzińcu pod wielkim drzewem, na zestawionych stołach doktor operował człowieka. Po skończonej operacji, wypisał mi receptę na morfinę dla Wandy. Apteka w Radzynie była nieczynna, a właścicielka apteki, pani Niewęgłowska, przebywała w Paszkach, ponieważ stamtąd pochodził jej mąż. Kuzyn dostał od niej morfinę. Wanda bardzo cierpiała, a po morfinie była półżywa. Stanisława dostała czterdzieści stopni gorączki. Gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności obie zmarłyby. Kuzynowi ktoś doniósł, że w Paszkach zakwaterował się sowiecki polowy szpital wojskowy. Kuzyn tam poszedł błagając o pomoc. Sprowadził do rannych lekarza, ten Stanisławie natychmiast zoperował plecy, ponieważ po wyjętych odłamkach w ranach zebrała się ropa. Dostała zastrzyki i jakieś leki. Wandę również zbadał. Na siłę, bez znieczulenia wyprostował jej zgięte kolano, aby w przyszłości nie kulała. Morfiny nie kazał podawać. Dawał zastrzyki, leki i zmieniał opatrunki. Przychodził około dziesięciu dni. Stanisława z każdym dniem czuła się lepiej. Pozostała jej tylko duża szrama na plecach. Wanda też się wzmocniła i zaczęła jeść. Lekarz oświadczył, że Wanda musi być koniecznie prześwietlona, ponieważ odłamek z uda przemieścił się do brzucha. Zaraz po wyjeździe lekarza przyjechała cioteczna siostra z Czemiernik, aby odciążyć kuzyna i zabrała Wandę do siebie. Wanda czuła się już znacznie lepiej, ale nie mogła chodzić. Kuzynka przysłała syna, aby przywiózł mnie rowerem do Czemiernik. Byłyśmy tam ponad tydzień. Ustały nocne bombardowania. Zaczęło napływać do miasta wojsko sowieckie. Wiele domów w mieście było jeszcze za-

mkniętych, ponieważ mieszkańcy nie wrócili po bombardowaniach. Do naszego domu wieczorem przychodzili żołnierze i prosili o nocleg. Był to lotnik ze spadochronem i całym ekwipunkiem oraz solista z zespołu, który następnego dnia dał koncert dla wojska. Któregoś dnia na nocleg przyszło dziesięciu żołnierzy, z pokoju wynieśli stół, ojciec przyniósł kilka snopków słomy, rozłożyli ją na podłodze i tak przenocowali. Było to bardzo uciążliwe, więc mama poszła do komendanta i poprosiła, aby przydzielił jej jednego wojskowego na nocleg, oferując łóżko i pościel. Ze względu na dużą rodzinę i dwie ciężko ranne córki komendant przydzielił sierżanta, który dysponował samochodami.

Mama codziennie płakała po stracie syna i martwiła się o zdrowie Wandy. Ze względu na brak poprawy nie można było zawieźć ją do Lublina na prześwietlenie. Sierżant opowiedział nam, że jego żona i dzieci również zginęli podczas bombardowania. Po pracy wychodził często do ogrodu i grał smutne melodie. Po kilku dniach zaproponował rodzicom, że da ciężarówkę z kierowcą, aby można było zawieźć Wandę do Lublina. Z rodziny tylko szwagier znał Lublin i obiecał zająć się sprawą. Miał do załatwienia jakąś sprawę w firmie handlowej Korsen. Tam z załatwiającym go panem wspomniawszy, że następnego dnia wyjeżdża z chorą do Lublina. Pan ten bardzo go prosił, aby mógł się z nim zabrać, ponieważ nie było żadnej innej komunikacji. Po drodze z Radzyna szwagier opowiedział mu, jaki jest cel jego podróży. Rano kuzyni z Czemiernik przywieźli wozem Wandę z noszami i mnie do przystani nad rzeką Tyśmienica. Na drugą stronę rzeki dostaliśmy się promem. Nosze z chorą postawiono w Niewęgłoszu pod kapliczką. Okazało się, że mężczyzna jadący ze szwagrem, jest lekarzem, który został zmuszony do opuszczenia Lublina podczas okupacji, a teraz tam wraca. Zapytał, czy może zbadać ranną. Ponadto oświadczył, że nie ma pewności czy w Lublinie można już dokonywać prześwietleń, a z prześwietleniem siostry można jeszcze poczekać. U szwagra mieszkał doktor Gruszecki i często skarżył się, że ma bardzo dużo pracy jako jedyny lekarz w szpitalu. Szwagrowi udało się namówić tego lekarza do powrotu do Radzyna, za co doktor Gruszecki był mu bardzo wdzięczny. Lekarz ten przepracował w Radzynie ponad rok. Ciężarówka wróciła z siostrą do Radzyna. Pozostawili ją w szpitalu. Doktor Gruszecki był bardzo zdziwiony, że ona żyje. Zaopiekowali się nią obaj lekarze. Przebywała w szpitalu około dwóch tygodni. Lekami i maściami doprowadzono do tego, że mogła chodzić, otrzymała jednak zalecenie, aby zrobić prześwietlenie. Na opuszczone przez siostrę łóżko położono chłopaka o nazwisku Paszkiewicz (około 12 lat). Miał amputowane obie ręce aż do łokci i poranioną twarz. Przyczyniły się do tego niewypały, którymi manipulował. Chyba po dwóch latach został uczniem gimnazjum ogólnokształcącego. Uczył się dobrze. Długopis umocowywał gumką u łokcia ręki. W biegach pokonywał wszystkich rywali. Dobrze sobie radził z rysunkami i został inżynierem.

Jeden z wojskowych, który u nas nocował, sprowadził do ogrodu saperów. Stwierdzili, że duży lej powstał po bombie 500 kilogramowej. Z ogrodu zabrali 38 niewypałów. Dowiedziałam się, że jedna kobieta zginęła podczas kopania ogródka. Opuszczający Polskę Niemcy zrzucali z samolotów długopisy, zapalniczki i inne drobiazgi, które przy użytkowaniu wybuchały. Po trzech tygodniach, jak się trochę uspokoiło, brat Paweł z ojcem i stryjem zawieźli wozem trumnę Waclawa i kuzynki na cmentarz. Tam grabarz pochował je w grobach ziemnych. Przy końcu września w mieście rozwieszono klepsydry o śmierci Waclawa. W kościele odprawiono uroczystą Mszę świętą w jego

intencji (w dniu jego imienin).

W połowie sierpnia na zapleczu budynku byłego gestapo została odprawiona uroczysta msza święta z dużym udziałem mieszkańców Radzyna za rozstrzelanych na tym dziedzińcu więzienia więźniów politycznych, a niewiadomo gdzie pochowanych.